

# MIĘDZY NIEBEM A ZIEMIĄ

JAMES F. TWYMAN

PRZEŁOŻYŁA

Ewa Androsiuk-Kotarska



TYTUŁ ORYGINAŁU:

*The Barn Dance*

Redakcja i korekta: Beata Piecychna

Projekt okładki: Trevor Thomas

Skład: skladigrafika@gmail.com

THE BARN DANCE

Copyright © 2010 by James F. Twyman

English language publication 2010 by Hay House USA, Inc.

Słuchaj Radia Hay House na [www.hayhouseradio.com](http://www.hayhouseradio.com)

Copyright © for Polish edition by ILLUMINATIO Łukasz Kierus 2011

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2011

ISBN: 978-83-62476-13-8



[www.illuminatio.pl](http://www.illuminatio.pl)

Wydawnictwo ILLUMINATIO Łukasz Kierus

E-mail: [wydawnictwo@illuminatio.pl](mailto:wydawnictwo@illuminatio.pl)

Dystrybucja: [zamowienia@illuminatio.pl](mailto:zamowienia@illuminatio.pl)

Książki wydawnictwa kupisz w:

[www.CzaryMary.pl](http://www.CzaryMary.pl)

[www.TaniaKsiazka.pl](http://www.TaniaKsiazka.pl)

## SPIS TREŚCI

Wstęp.....	10
Rozdział 1. ....	11
Rozdział 2. ....	19
Rozdział 3. ....	27
Rozdział 4. ....	35
Rozdział 5. ....	41
Rozdział 6. ....	51
Rozdział 7. ....	59
Rozdział 8. ....	71
Rozdział 9. ....	83
Rozdział 10. ....	91
Rozdział 11. ....	103
Rozdział 12. ....	115
Rozdział 13. ....	127
Rozdział 14. ....	141
Rozdział 15. ....	153
Rozdział 16. ....	169
Rozdział 17. ....	175
Rozdział 18. ....	185
Rozdział 19. ....	193
Rozdział 20. ....	205
Rozdział 21. ....	209
Rozdział 22. ....	215
O autorze.....	223



*Gdzieś pomiędzy ziemią a niebem jest miejsce,  
w którym magia nigdy nie przestaje działać...*

James F. Twyman

*Książkę tę dedykuję wszystkim,  
którzy kochali i szanowali Lindę:  
Idzie, Neilowi, Colleen i w szczególności Angeli.*





## WSTĘP

---

Czy naprawdę istnieje coś takiego jak „prawdziwa historia”? Jeżeli zapytać detektywów, większość z nich powie, że relacje świadków są często najmniej wiarygodnym źródłem informacji. Jeśli dziesięć osób opowiada o wypadku, pojawia się tyle samo, nieznacznie różniących się od siebie, wersji wydarzeń. Nie zawsze dowiadujemy się więc, co się naprawdę stało, lub odwrotnie – często bagatelizujemy to, co ukazuje się tuż przed naszymi oczami. Najwięksi filozofowie od zarania dziejów zadawali sobie pytanie: „Czym jest prawda?”. Pojęcie to nie jest tak proste do wyjaśnienia, jakbyśmy sobie tego życzyli.

Niniejsza książka została wydana jako powieść, choć dla mnie przedstawia jedynie prawdę. Wydarzenia i dialogi, których autentyczność można przecież zbadać i udowodnić, starałem się odtworzyć możliwie jak najwierniej. Innymi słowy – one naprawdę miały miejsce i nietrudno to zweryfikować. Jednak w miarę rozwoju tej historii coraz trudniej było mi odróż-

nić własne przeżycia od tego, co jest możliwe do udowodnienia. Nie oznacza to, że moje wspomnienia są tylko wymysłem wyobraźni i nie mają realnego podłoża. Czasami to, czego doświadczamy w snach, ma na nas trwalszy wpływ niż to, co dzieje się po przebudzeniu: kiedy przeciągamy się, wstajemy z łóżka i zaczynamy nowy dzień. Mistycy obecni w niemalże każdej tradycji również twierdzą, że to, co uważamy za „prawdziwy świat”, w rzeczywistości nie jest niczym innym niż tylko „snem na jawie”; że oprócz tego świata istnieje inny, może nawet prawdziwy. Myślę, że dane mi było odwiedzić „tamten świat” i to właśnie opisuję w niniejszej książce. Sami zdecydujcie, w co chcecie wierzyć. Jeśli chodzi o mnie, wierzę we wszystko, co zostało tu opisane. Właściwie czuję, że nigdy nie byłem bliżej prawdy.

*James F. Twyman*





## ROZDZIAŁ 1

---

Nic nie wyglądało znajomo, gdy przyjechałem do Lakeview w sierpniu 2009 roku. Minęło trzy i pół roku od chwili, gdy pierwszy raz przejeżdżałem przez to małe miasteczko w stanie Oregon z moją córką Angelą i jej przyjaciółką, Heather, śpiącą na tylnym siedzeniu samochodu. Cieszyliśmy się wtedy, że żyjemy. Lakeview pokrywała gruba warstwa gęstego grudniowego śniegu. Przybyliśmy tam roztrzęsieni i wyczerpani po tym, jak nieomal stoczyliśmy się z drogi stanowej nr 140 w prawie stumetrową przepaść. To, że po kilku latach wracałem tu w tak niezwykłych okolicznościach, przywołało wspomnienia rodem z koszmarnego snu. Przeszywały mnie dreszcze. Miałem wrażenie, jakby po plecach chodził mi owad, którego nie można ani dosięgnąć, ani strząsnąć. Moje ręce były za krótkie, a mięśnie zbyt sztywne, by podjąć taki wysiłek.

Teraz na tylnym siedzeniu mego wozu leżały tylko walizka i gitara, ale ciągle przyłapywałem się na tym, że sprawdzam, czy dziewczęta wciąż tam są. Tak jakby tamta pamiętna

noc nadal trwała. Nasza bardzo długa podróż do Oregonu po śmierci mojej żony w Chicago kończyła się. Staraliśmy się ze wszystkich sił zachować pogodę ducha i spokój. Urnę z prochami Lindy, a także walizki i inne rzeczy, których Angela nie chciała zostawiać, włożyłem do bagażnika. Pewnie i tak nigdy nie wróciłaby do Chicago. Teraz nikt tam na nią nie czekał. Poza tym bolesna prawda o zamordowaniu jej matki jeszcze do niej nie dotarła.

Ogromny drewniany kowboj reklamował Lakeview jako „Najwyższe miasteczko w stanie Oregon”, bardziej z powodu położenia geograficznego niż wysokości budynków. Gdyby to miejsce nie przyciągało mnie z tak tajemniczą siłą, nigdy nawet nie pomyślałbym o powrocie. Czułem się, jakbym tamtej fatalnej nocy stracił część siebie, i wiedziałem, że nie otrząsnę się po śmierci Lindy, dopóki nie wrócę tam i nie odzyskam spokoju. To wspomnienie nawiedzało mnie często i nie mogłem się od niego uwolnić. Nie miałem wyboru; musiałem przejechać setki kilometrów, by spróbować wypędzić demony przeszłości. To była podróż, której nie chciałem odbyć, ale czułem, że muszę się w nią wybrać.

Nigdy wcześniej nie próbowałem odnaleźć utraconej części siebie, więc nie wiedziałem, jak się do tego zabrać. Wiedziałem jedynie, gdzie znajduje się brakujący element – urwisko. Czekano na mnie i byłem tego świadomy. Wydawało mi się, że to ja byłem wytworem jego wyobraźni, a nie ono – mojej. Próbowałem zamknąć ostatecznie ten rozdział mojego życia, ale musiałem odzyskać brakujący fragment. Tylko to urwisko wiedziało, gdzie go szukać, a ja postanowiłem wydrzeć mu tę informację w ten czy inny sposób.

Wyjechałem z Portland dzień wcześniej i dojechałem aż do Ashland, a następnego dnia po południu ruszyłem w dalszą drogę do Lakeview. Gdy tam dotarłem, było już prawie ciemno. Podróż w stronę urwiska musiała zatem poczekać do rana. Chociaż wciąż miałem przed oczyma obraz miejsca, w którym niemal straciłem kontrolę nad autem, po ciemku nie wiedziałbym, jak ponownie tam trafić. Byłem już prawie na obrzeżach miasta, gdy w nieoczekiwanym dla mnie momencie dostrzegłem Budget Inn – ten sam hotel, w którym zatrzymaliśmy się trzy i pół roku temu. Bezwiednie zjechałem na parking. Nawet się nie zdziwiłem się, gdy powróciło znajome uczucie – ulga, że udało mi się bezpiecznie przetrwać burzę, połączona ze świadomością, że przygoda jeszcze się nie skończyła. Otworzyłem drzwi samochodu i, zanim udałem się w stronę recepcji, wziąłem głęboki wdech gorącego górskiego powietrza. Pomyślałem, że nie ma sensu odwlekać zakończenia tej dziwnej historii. Trzeba przecież jakoś żyć dalej.

Kiedy wszedłem, drzwi zaskrzypiały na tyle głośno, by zwrócić uwagę mężczyzny znajdującego się w pomieszczeniu. Stał odwrócony. Zobaczyłem jego masywne ciało oraz długie ciemne włosy, a kiedy się odwrócił, bez zdziwienia zauważyłem, że to Indianin. Nie patrząc na mnie, podszedł do biurka i grubymi muskularnymi palcami podsunął mi formularz zameldowania.

– Potrzebuje pan pokoju? – wydobył z siebie niewzruszony głos.

– Tak, tylko na dziś – odrzekłem. – Jestem sam, więc wystarczy jedno łóżko.

– Za 69 dolarów mamy łożo małżeńskie. Dla członków AAA\* jest taniej. Ma pan kartę?

Dopiero wtedy na mnie spojrział. Poczulem mrozące krew w żyłach dreszcze. Moja reakcja nie miała żadnego logicznego wytłumaczenia, ale oczach mężczyzny dostrzegłem moc, której się nie spodziewałem – siłę, która zdawała się mną zawładnąć.

– Tak, mam – wymamrotałem w końcu nieśmiało. – Więc ile płacę?

– Z kartą będzie 59 dolarów. Pasuje?

– Tak. Już tu nocowałem, jakieś trzy lata temu, i wszystko było w porządku.

Zdałem sobie sprawę, że mówię bardziej do siebie niż do tego człowieka. Energia, którą wyczułem w jego spojrzeniu, była ciężka niczym ołów. Pomyślałem, że jeśli będę coś mówił, Indianin nie wyczuje mojej niepewności. W końcu odwrócił wzrok i to ciężkie uczucie gdzieś się ulotniło, jakby nigdy go nie było. Wziąłem do ręki długopis i zacząłem wypełniać formularz. Miałem nadzieję, że mężczyzna nie zauważy, co się ze mną dzieje. Ten jednak już się odwrócił, by włożyć do szafki jakieś dokumenty. Zauważyłem wtedy, że jest naprawdę wielki. Jego ramiona przypominały stalowe pręty zamocowane między dwoma budynkami, zaś plecy stanowiły masywną płataninę mięśni i ścięgien. Kiedy ponownie odwrócił się i spojrział na mnie, mój wzrok odruchowo powędrował w stronę formularza. Za nic nie chciałem, by Indianin po-

---

\* American Automobile Association – Amerykańskie Stowarzyszenie Samochodowe (główne stowarzyszenie miłośników motoryzacji w USA) – *przyp. red.*

myślał, że się na niego gapię. Nie wiem dlaczego, ale miałem przeczucie, że nic dobrego by z tego nie wyszło.

– Będzie pan w pokoju nr 23 – powiedział, kładąc przede mną klucz. – Rano wydajemy śniadanie, jeśli można to tak nazwać. Ale gdyby panu nie odpowiadało, w pobliżu jest wiele miejsc, gdzie dostanie pan coś, co naprawdę zostało ugotowane.

– Na pewno coś znajdę – powiedziałem. – Może pan polecić jakieś miejsce?

Zanim odpowiedział, przyglądał mi się przez kilkanaście sekund. Poczujęm powracającą niepewność.

– Nie – odpowiedział, po czym odwrócił się i poszedł z powrotem w stronę biura. Ja z kolei nerwowo chwyciłem swoją torbę i skierowałem się do drzwi szczęśliwy, że opuszczam to miejsce.

– Dokąd pan jedzie? – zapytał mężczyzna, zmuszając mnie tym samym do pozostania. Odwróciłem się i zaniemówiłem. Indianin wyglądał jak zupełnie inna osoba, był zrelaksowany i uśmiechnięty. Gniewne spojrzenie, które jeszcze przed chwilą malowało się na jego twarzy, zupełnie znikło. Nie czułem już zażenowania, chociaż patrzył mi prosto w oczy.

– Kieruję się w stronę drogi stanowej nr 140 – powiedziałem, podchodząc do recepcji.

– Jak to? – zapytał pogodnie. – Na pewno nie jedzie pan podziwiać drogi stanowej. Musi pan mieć jakiś inny cel.

– Właściwie chodzi tylko o tę drogę. Jakies trzy i pół roku temu jechałem nią podczas strasznej burzy śnieżnej. Można chyba powiedzieć, że miejsce to wywarło na mnie wrażenie. Może to zabrzmie głupio, ale od tamtego czasu czuję przytłaczającą wręcz potrzebę powrotu na tę drogę... Nie wiem dlaczego. Jutro tam pojadę, zobaczę, co mam zobaczyć, i wyjadę.

– Jestem Victor – powiedział, wyciągając ku mnie swą ogromną dłoń. – Rozumiem, że nie był pan tu wcześniej?

– Nie, wtedy byłem pierwszy raz i nie sędzę, żebym tu kiedyś wrócił – odpowiedziałem i ucisnąłem mu dłoń. – Poprzednim razem nie zauważyłem, że jest tu tak niebezpiecznie. Większa część tej drogi wygląda tak, jakby była wycięta w urwisku.

– Bo była. I lepiej trzymać się od niej z daleka. Miejscowi nazywają ją Aleją Samobójców, bo już wielu ludzi zginęło na jej zboczu. Moi ludzie mają jednak inną teorię. Nasi przodkowie przez wiele pokoleń mawiali, że droga ta prowadzi przez tereny, na których granica między tym i tamtym światem jest naprawdę cienka i błąka się wiele duchów. W dawnych czasach tylko święci oraz wódz mogli udawać się w niektóre doliny lub lasy. Chadzali tam, by porozmawiać z duchami i przynieść od nich mądrość. Nikt już teraz w to nie wierzy, ale starsi ludzie wciąż powtarzają tę legendę.

Byłem zdumiony słowami Indianina i jednocześnie czułem, że elementy układanki zaczynają do siebie pasować. Od tygodni myśl o powrocie w to miejsce wypełniała mój umysł. Czułem, że jeśli tam nie wrócę, to oszaleję. Chociaż nie miało to zupełnie sensu, czułem, że została tam mała częśćka mnie, a zatem musiałem odnaleźć ją i sprowadzić do domu.

– Więc co mi pan radzi zrobić? – zapytałem, tracąc nagle pewność siebie.

– Przede wszystkim trzymać się jak najdalej stąd i wyjechać – odparł, znów przybierając skupiony wyraz twarzy. – Proszę jechać tam, skąd pan przybył. Jeśli nie, proszę zrobić to, co pan musi zrobić, i jak najszybciej wracać do do-

mu. Nie chcę pana straszyć, nic z tych rzeczy, ale moi ludzie wierzą w swoje legendy nie bez powodu. Nie wiem, ile w tym wszystkim prawdy, ale te historie opowiadane są dłużej, niż pan i ja możemy sobie wyobrazić. Mam na myśli tysiące lat. Nic więcej nie mogę powiedzieć. Rób, człowieku, co masz zrobić, a potem zapomnij o wszystkim.

Opuściłem hotel, zastanawiając się, czy w ogóle warto było tu przyjeżdżać. Ogromny ból, który wypełniał moje życie przez ponad trzy lata, powoli już ustępował, a oto ja goniłem coś, czego sam nie rozumiałem. Cząstka mnie chciała po prostu spędzić noc w hotelu, a następnego dnia wsiąść do auta i wrócić do Portland. Wiedziałem jednak, że tego nie zrobię. Nieokreślone uczucie, które mnie tu przygnało, na pewno nie zamierzało zrezygnować tak łatwo. Tak czy siak musiałem ukończyć tę podróż i zamknąć całą sprawę. Dopiero wtedy mógłbym być czegokolwiek pewien, mógłbym zrozumieć...

Godzinę później leżałem w łóżku, jednak nie mogłem zasnąć. Za każdym razem, kiedy mój umysł odpływał, oczyma wyobraźni widziałem twarz Lindy: czasami młodą i energiczną, jak wtedy, gdy poznaliśmy się w 1984 roku, a czasem martwą, na podłodze jej mieszkania w Evanston, niedaleko Chicago. Próbowałem odpędzić te myśli, ale one nie odpuszczały. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowałem, było rozpamiętywanie owej koszmarnej nocy, kiedy śmierć Lindy wstrząsnęła moim światem. Sufit w pokoju pomalowany był chyba jakąś błyszczącą farbą, bo odbijał światło niczym diamenty. Próbowałem skupić się na jego lśnieniu, by dłużej nie zasypiać. Nie chciałem myśleć o Lindzie, przynajmniej

nie wtedy, ponieważ nie potrafiłem kontrolować kierunku, w którym popłynęłyby moje myśli. „Po prostu nie myśl o tamtej nocy”, pomyślałem sam do siebie. „O każdej innej nocy, tylko nie o tamtej”...